

Tego nie da się opowiedzieć, nie da ubrać w słowa. Stoję jak wryta, lata szkolenia i pracy kulące się w zakamarkach mózgu jak wagarowicze przed dyrektorką. Wiem, że moje drżące ręce tylko przeszkodzą w wysiłkach, więc spod ściany obserwuję, jak Kaśka rozcina jego ubranie, odsłaniając zakrwawioną klatkę piersiową. Widzę to zagłębienie, tuż pod prawym obojczykiem, gdzie moja głowa najchętniej spoczywa podczas tych cichych wieczorów w domu, bladą twarz i krótko ścięte włosy. Połamane okulary zwisają na jednym uchu, dopóki Ania litościwym gestem nie położy ich na stoliku obok. Podłączają ostatnie kabelki i z maszyny wydobywa się przeraźliwy pisk, przywracając mnie do życia. W ciągu sekundy klęczę obiema nogami na łóżku i uciskam mostek. Brak rytmu znaczy, że nie mogą zastosować elektrod. Nie wiem, jak długo to robię. Zdecydowanie za długo; z ran przestaje nawet wyciekać krew, ja sama czuję, że przelewam wodę w próżnię. Ale nie zatrzymują mnie, nie próbują odciągnąć. Dopiero po dłuższym czasie słyszę cichy głos dyżurnego lekarza.

- Czas zgonu: dwudziesta trzecia pięćdziesiąt trzy.

- Nie – dyszę. Musiałam stosować sztuczne oddychanie przez ponad pół godziny i pomimo adrenaliny i ogromnego otępienia, które spowija jeszcze mój mózg jestem w tej chwili tak zmęczona, że nie mogę się ruszyć, więc robię to, co zawsze, kiedy brak mi sił: osuwam się obok i kładę głowę na jego skrwawionej piersi. – Nie. Nie. Nie. Nie...

Teraz próbują mnie ściągnąć. Jakby to miało jakieś znaczenie, jakby mógł mnie czymś zarazić, jakby... Nie szarpię się jednak, bo nie mam na to sił i dopiero kiedy lekarz przyszpila mnie do podłogi, dociera do mnie, że mogłam zniszczyć dowody. Ślady.

Jacek nie wpadł po pijaku do rzeki, nie rozbił się na rowerze. Ktoś mu to zrobił. Ktoś mi go zabrał.

Zaczynam krzyczeć, wściekłość i ból mieszące się w jeden pierwotny krzyk, odbijający się echem od pomalowanych na białą ścian. Nie mogę przestać. Chcę, naprawdę chcę, bo gdzieś tam na jakimś odcieniu świadomości wiem, że zaraz mnie uśpią, odurzą, zostawią go samego, a ja nie mogę tego zrobić. Zawsze wszystko robiliśmy razem i teraz też nie pozwolę mu odejść beze mnie. Ale to boli zbyt mocno, to pali i szarpie jakby ten nóż, który odebrał mi Jacka, teraz powoli zagłębiał się w moje ciało.

To nie jest koniec świata.

Nawet teraz, wyjąc w amoku i tłucząc pięściami w ścianę, zdaję sobie z tego sprawę. Są gorsze rzeczy, na pewno. Utrata dzieci – choć nie umiem sobie tego wyobrazić, bo ich nie mam. Utrata całej rodziny jednocześnie. Nie jestem pierwszą która w tej chwili traci poszlachtowane, połamane w drzazgi serce.

Problem w tym, że dla mnie to jest pierwszy raz i zupełnie nie wiem, jak z tym żyć. Koniec życia – nawet nie jego, ale całego życia, które zaplanowaliśmy, przemyśleliśmy i zaczęliśmy razem, teraz zostaje mi odebrana. Pieprzony świat.

Chyba już wolalabym jego koniec.

Jacek pochrapywał cicho przez nos, z dłońmi pod policzkiem. We śnie wyglądał tak niewinnie, jak dziecko, które można schrupać. Powinnam go obudzić; nie darowałby mi gdybym nie dała mu szansy na złożenie mi życzeń i pożegnalnego buziaka przed nocką. Przeklęłam pod nosem. Pracowałam – znowu! – w swoje urodziny i choć na pewno nie był to koniec świata, więcej, nie wierzyłam, że nastąpi, mimo iż na kalendarzu widniała znacząca data dwudziestego grudnia, byłam wściekła.

Nie mogłam go obudzić w takim nastroju, jedno było pewne. Jego temperament był o wiele bardziej ognisty od mojego, a kiedy w dodatku tak buzowałam, jedna iskra wystarczyłaby do wywołania pożaru. Poczłapałam więc do kuchni, pocieszając się miękkim dotykiem swoich papuci w kształcie wielgachnych szczeniaków.

Nie byłam konoserką kawy. Pić nauczyła mnie babcia, która co dnia wychylała co najmniej pięć szklanek (koniecznie szklanek, żadnych tam szlacheckich filiżanek) MK cafe. Zaczęłam pić jako nastolatka z nadwagą, która uczucie głodu próbowała zabijać kofeiną. Niewiele to pomogło, ale zwyczaj pozostał. Jacek był inny: na kawie i lodach nie lubił oszczędzać, musiał mieć dobrą markę.

Do kubka z wizerunkiem Słupska, z którego zawsze pił, nasypałam kopiastą łyżeczkę Douwe Egberts i zalałam mlekiem do połowy. Na angielski sposób następnie podgrzałam kubek i dopiero potem zalałam wrzątkiem. Wraz ze swoim kubkiem na którym widniała tarzająca się w błocie świnka, powędrowałam do sypialni, szturchając Jacka w kolano. Mamrocząc pod nosem usiadł na łóżku i łapczywie zanurzył usta w gorącym płynie.

- Wychodzisz dzisiaj?

Zazwyczaj do pubu chodził w piątki, ale wyjście kiedy ja pracowałam było sporym rarytasem: nie musiał się spieszyć z powrotem, bo i tak przecież na niego nie czekałam.

-Chyba – wzruszył ramionami.

Przekręciłam oczami. Zapomniałam, że przez dobrą godzinę po obudzeniu trudno wydobyć z niego jakieś cywilizowane słowa. W milczeniu patrzył jak się przebieram w swój fartuch i dopiero wtedy objął mnie ramionami.

- Wyglądasz tak seksownie, moja pielęgniarczko – wyszeptał. – Wszystkiego najlepszego. Kocham cię.

Wyprostował się, jakby dopiero teraz coś mu przyszło do głowy.

- Zawsze możesz zadzwonić, że się rozchorowałam.

W przeciwieństwie do niego, ja już o tym myślałam. I teraz pokręciłam tylko głową. Okres przedświąteczny był zawsze zajęty. Nie mogłam sprawiać więcej kłopotu na oddziale, na Izbie Przyjęć i tak zawsze brakowało ludzi.

- Baw się dobrze. Zobaczymy się jutro. Jakoś przeżyję – zmusiłam się do uśmiechu. Odpowiedział mi ognikiem w niebieskich oczach.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

lina_91, dodano 12.01.2013 10:15

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.